

paweł huelle

weiser dawidek



znak

paweł
huelle

weiser dawidek

wydawnictwo znak

kraków 2014

Właściwie jak to się stało, jak do tego doszło, że staliśmy w trójkę w gabinecie dyrektora szkoły, mając uszy pełne złowrogich słów: „protokół”, „przesłuchanie”, „przysięga”, jak to się mogło stać, że tak po prostu i zwyczajnie z normalnych uczniów i dzieci staliśmy się oto po raz pierwszy oskarżonymi, jakim cudem nałożono na nas tę dorosłość – tego nie wiem do dzisiaj. Były może jakieś wcześniejsze przygotowania, nic jednak o tym nie wiedzieliśmy. Jedyne, co wówczas odczuwałem, to ból lewej nogi, bo kazano nam stać cały czas, a do tego wciąż powtarzające się pytania, podstępne uśmiechy, groźby pomieszane ze słodkimi prośbami, „aby wszystko wytłumaczyć raz jeszcze, po kolei i bez żadnych zmyśleń”.

Mężczyzna w mundurze ocierał pot z czoła, patrzył na nas tępym wzrokiem umęczonego zwierzęcia i groził palcem, mamrocząc pod nosem niezrozumiałe zaklęcia. Dyrektor w rozluźnionym krawacie bębnił palcami po czarnej powierzchni biurka, a nauczyciel przyrody M-ski wpadał co chwila, dopytując się o przebieg śledztwa. Patrzyliśmy, jak promienie wrześniejszego słońca, przebijając się przez

zasunięte firanki, oświetlają zakurzony dywan bordowego koloru, i było nam żal minionego lata. A oni pytali wciąż, niestrudzenie, sto razy od nowa, nie mogąc pojąć najprostszych w świecie rzeczy, zupełnie tak, jakby to oni byli dziećmi.

– To jest wprowadzanie w błąd, za to są określone kodeksem kary! – krzyczał ten w mundurze, a dyrektor przytakiwał mu, łapiąc się co rusz za krawat:

– Co ja z wami mam, chłopcy, co ja z wami mam – i położył jeszcze bardziej wielki trójkątny węzeł, który z daleka można było wziąć za kokardę jakobińską.

Tylko M-ski zachowywał umiarkowany spokój, jakby był pewny swego, szeptał na ucho temu w mundurze jakieś informacje, po czym obaj spoglądali na naszą trójkę z jeszcze większym zainteresowaniem, poprzedzającym zwykle nową serię pytań.

– Każdy z was mówi zupełnie co innego – krzyczał dyrektor. – I nigdy dwa razy to samo, więc jak to jest, że nie możecie ustalić wspólnej wersji?

A mundurowy wpadał mu w słowo:

– To jest za poważna sprawa na żarty, żarty się skończyły wczoraj, a dzisiaj trzeba całą nagą prawdę na stół!

Nie wiedzieliśmy wprawdzie, jak wygląda naga prawda, ale żaden z nas przecież nie kłamał, mówiliśmy jedynie to, co chcieli usłyszeć, i jeśli M-ski pytał o niewypały, przytakiwaliśmy, że chodziło o niewypały, gdy zaś mężczyzna w mundurze dodawał skład zardzewiałej amunicji, nikt z nas nie przeczył, że gdzieś taki skład na pewno był, a może i jest jeszcze teraz, tylko nie wiadomo gdzie, od czego pytający dostawał wypieków i zapalał nowego papierosa. Była w tym jakaś

nieuświadomiona metoda obrony, o którą oni rozbijali się niczym mydlana bańka. Gdyby na przykład zapytali nas, czy byliśmy świadkami wybuchów Weisera, każdy przytaknąłby skwapliwie, że tak, nikt jednak nie potrafiłby powiedzieć, o jakich porach dnia, a na dodatek jeden z nas dodałby zaraz, że właściwie Weiser robił to wyłącznie sam, od czasu do czasu zapraszając tylko Elkę. Czuliśmy doskonale, że na pytania, które nam zadają, nie ma prawdziwych odpowiedzi, a nawet gdyby okazało się po jakimś czasie, że jednak są, to i tak to, co zdarzyło się tamtego sierpniowego popołudnia, pozostanie dla nich całkiem niewytłumaczalne i niezrozumiałe. Podobnie jak dla nas równania z dwiema niewiadomymi.

Szymek i Piotr stali po bokach, a ja w samym środku, z moją bolącą i spuchniętą od długiego znieruchomienia nogą. Oni mogli ratować się spojrzeniami w lewo lub prawo, ja zaś pozostawałem sam ze spojrzeniem dyrektora i oprawionym w ciemne ramki białym orłem ponad jego głową. Chwilami wydawało mi się, że orzeł porusza jednym ze skrzydeł, chcąc wylecieć na podwórze, czekałem, aż usłyszymy brzęk tłuczonego szkła i ptak pofrunie, lecz nic takiego się nie stało. Zamiast oczekiwanego lotu coraz gęściej padały pytania, pogroźki i prośby, a my staliśmy dalej, całkiem niewinni i przerażeni tym, jak skończy się to wszystko, bo przecież wszystko musi mieć swój koniec, tak jak lato, którego ostatnie odgłosy dobiegały do naszych uszu przez uchylone okno gabinetu.

– Człowiek nie może zginąć zupełnie bez śladu – krzyczał ten w mundurze. – To jest niemożliwe, a ty, Korolewski – zwrócił się do Szymka – utrzymujesz, że Weiser i wasza koleżanka (mundurowy nie mógł zapamiętać, jak nazywała się

Elka) wyszli tego dnia razem z domu, w kierunku Bukowej Górki, i że więcej ich nie widziałeś, gdy tymczasem widziano was we trójkę na nasypie kolejowym jeszcze po południu.

– A kto widział? – zapytał nieśmiało Szymek, przestępując z nogi na nogę.

– Ty mi tu pytań nie zadawaj, masz odpowiadać! – Mężczyźni w mundurze rozbłysły groźnie oczy. – To się jeszcze dla was wszystkich źle skończy!

Szymek przełknął ślinę i jego odstające uszy zaczerwieniły się gwałtownie:

– Bo to było dwa dni wcześniej, jak nas widzieli.

Dyrektor nerwowo przerzucił arkusze papieru, gdzie były spisane nasze zeznania.

– Nieprawda! Znowu beczelnie kłamiesz, przecież twoi koledzy powiedzieli wyraźnie, że szliście we trójkę starym nasypem kolejowym w kierunku Brętowa, a może – zwrócił się teraz do nas – to nie są wasze słowa, co?

Piotr pokiwał głową na znak zgody.

– Tak, panie dyrektorze, ale myśmy nie powiedzieli wcale, że to było tego ostatniego dnia, to rzeczywiście było dwa dni wcześniej.

Dyrektor poluźnił swój krawat, który teraz nie przypominał już właściwie normalnego krawata, tylko szalik, wąski i kolorowy, owinięty pod kołnierzykiem. Mundurowy zerknął w zeznania i jego twarz wykrzywił grymas, ale powstrzymał się tym razem od krzyku, by zadać następne pytanie z całkiem innej beczki, podstępne i nagłe. Być może chciał wiedzieć, skąd Weiser brał materiał wybuchowy do swoich eksplozji, a może zapytał o coś zupełnie błahego, na

przykład jaką sukienkę miała na sobie Elka, kiedy widzieliśmy ją ostatni raz, albo czy Weiser nie odgrażał się przed zniknięciem, „że dokona czegoś wielkiego, że jeszcze coś pokaże”. Wszystko to krążyło nieuchronnie wokół tych dwojga, ale wiedzieliśmy dobrze, że nigdy nie dotkną prawdy, bo trop, który podejmowali, od samego początku był fałszywy.

Nie wiem, po jakim czasie M-ski zaproponował nowy sposób prowadzenia śledztwa, zanim jednak to nastąpiło, pomyślałem, że Weiser i Elka muszą nas jakimś sobie tylko znanym sposobem słyszeć teraz, stojących w gabinecie dyrektora i zeznających pod dyktando groźnego człowieka w mundurze. I na pewno Weiser cmoka z uznaniem, kiedy słyszy, jak ci trzej męczą się z nami, a Elka śmieje się głośno, ukazując białe, wiewiórcze zęby. Piotr i Szymek pomyśleli pewnie to samo, bo żaden nie pisał, kiedy M-ski polecił nam wyjść do sekretariatu i czekać tam na pojedyncze wezwania. Mieli nas teraz przesłuchiwać osobno – to był ten jego nowy pomysł, po którym spodziewali się większego sukcesu.

W sekretariacie pozwolono nam wreszcie usiąść i to było najważniejsze, ponadto chwila wytchnienia od spojrzeń M-skiego i krzyków tego w mundurze była czymś wspaniałym i nieoczekiwanym, czymś, co przyjęliśmy za widomy znak opatrności, że najgorsze jest już za nami. Trzej w gabinecie dali nam trochę czasu, abyśmy przemyśleli beznadziejność naszej sytuacji i doszli do odpowiednich wniosków, ale my nie musieliśmy się nawet naradzać w celu ustalenia dalszych zeznań. Wiadomo było, że każdy będzie mówił tak, jak czuje, i to właśnie dawało nam największe szanse na przetrwanie opresji.

Na pierwszy ogień poszedł Szymek, niknąc w czeluści gabinetu pokornie i cicho, zostaliśmy więc z Piotrem sami, nie na długo jednak. Za chwilę przysłano woźnego, żeby nas pilnował. Odtąd siedzieliśmy w zupełnym milczeniu, wypełnionym tykaniem zegara ściennego i przerywanym gongiem wybijającym pełne godziny.

Właściwie jak to się stało, że poznaliśmy Weisera? Wiadzieliśmy go wcześniej nieraz, chodził do tej samej szkoły co my, biegał po tym samym podwórku i kupował w tym samym sklepie Cyrsona oblepione butelki z oranżadą, które dorośli nazywali krachlami. Nigdy jednak nie uczestniczył w naszych zabawach, stojąc z boku i najwyraźniej nie mając ochoty być jednym z nas. Kiedy graliśmy w piłkę na trawie obok pruskich koszar, zadowalał się milczącym kibicowaniem, a kiedy spotykaliśmy go na plaży w Jelitkowie, mówił, że nie umie pływać, i prędko znikał w tłumie plażowiczów, jakby się tego wstydził. Spotkania te były krótkie i beztreściwe, co odpowiadało jego fizjonomii. Był niewielkiego wzrostu, bardzo chudy i lekko przygarbiony, miał przy tym chorobliwie białą cerę, dla której jedynym godnym uwagi kontrastem były nienaturalnie duże, szeroko otwarte i bardzo ciemne oczy. Dlatego chyba wyglądał tak, jakby się czegoś zawsze bał, jakby czekał na kogoś lub coś, co przyniesie mu złą nowinę. Mieszkał ze swoim dziadkiem pod jedenastką, a na drzwiach do ich mieszkania widniała żółta tablica z napisem „A. Weiser. Krawiec”. I to było właściwie wszystko, co mogliśmy o nim powiedzieć, zanim przyszło lato ostatniego roku, zapowiadane majowymi chrabąszczami

i ciepłym wiatrem z południa. Więc jak to się stało, że poznaliśmy Weisera?

Jeżeli cokolwiek ma swój początek, to w tym wypadku musiał to być dzień Bożego Ciała, który przypadał wyjątkowo późno. W kurzu i spiekocie czerwcowego przedpołudnia szliśmy w procesji oddzieleni od proboszcza Dudaka grupą ministrantów i świeżo komunikowanych trzeciaków, śpiewając jak wszyscy: „Witaj Jezu, Synu Mary-i, Tyś jest Bóg prawdziwy w Świętej Hosty-i”, i patrząc na ruchy kadzielnicy z nieukrywaniem nabożeństwem. Bo najważniejsza była kadzielnica, nie Hostia, nie święte wizerunki Matki Boskiej i Boga, Co Został Człowiekiem, nie drewniane figury niesione przez członków Koła Różańcowego w specjalnych lektykach, nie sztandary i wstęgi trzymane w dłoniach obleczonych w białe rękawiczki, ale właśnie kadzielnica, poruszająca się w lewo i w prawo, w dół i do góry, dymiąca szarymi obłokami, kadzielnica ze złotej blachy na grubym łańcuchu tego samego koloru i woń kadzidła, drażniąca nozdrza, ale też dziwnie mdła i łagodna. W nieruchomym powietrzu obłoki te utrzymywały się, długo nie zmieniając kształtu, a my przyspieszaliśmy kroku, następując poprzednikom na pięty, by schwytać je, zanim rozplyną się w nicość.

I wtedy właśnie zobaczyliśmy Weisera po raz pierwszy w roli dla niego charakterystycznej, roli, którą sam sobie wybrał, a następnie narzucił nam wszystkim, o czym, rzecz jasna, nie mogliśmy nic wiedzieć. Tuż przed ołtarzem, wznoszonym rokrocznie obok naszego domu, proboszcz Dudak zamachał potężnie kadzielnicą, wypuszczając wspaniałe obłoki, na który czekaliśmy z drżeniem i napięciem. A kiedy

szary dym opadł, zobaczyliśmy Weisera stojącego na małym wzgórku po lewej stronie ołtarza i przypatrującego się wszystkiemu z nieukrywaną dumą. To była duma generała, który odbiera defiladę. Tak, Weiser stał na wzgórku i patrzył, jakby wszystkie śpiewy, sztandary, obrazy, bractwa i wstęgi były przygotowane specjalnie dla niego, jakby nie było innego powodu, dla którego ludzie przemierzali ulice naszej dzielnicy z zawodzącym śpiewem na ustach. Dzisiaj wiem ponad wszelką wątpliwość, że Weiser musiał być taki zawsze, a wtedy gdy opadł kadzidlany dym, wyszedł jedynie z ukrycia, ukazując nam po raz pierwszy swoje prawdziwe oblicze. Nie trwało to zresztą długo. Gdy rozwiała się ostatnia smuga kadzidlanego zapachu i umilkły słowa pieśni intonowanej piskliwym głosem proboszcza Dudaka, a tłum ruszył dalej do samego kościoła, Weiser zniknął z pagórka i nie towarzyszył nam już. Jaki bowiem generał podąża za oddziałami po skończonym przeglądzie?

Do końca roku szkolnego pozostały dni liczone na palcach, czerwiec rozszalał się w upale i co dzień rano budziły nas przez otwarte okna głosy ptaków obwieszczające niepodzielne panowanie lata. Weiser znów stał się nieśmiałym Weiserem, który tylko z daleka patrzył na nasze pełne wrzasków zabawy. Ale coś już się zmieniło, czuliśmy teraz w jego wzroku dystans, przenikliwy i piekący, niczym spojrzenie ukrytego oka, badające każdy postępek. Może podświadomie nie mogliśmy znieść tego spojrzenia, kto wie, dość, że w dzień rozdania świadectw z religii ujrzeliśmy go znów tak samo jak w Boże Ciało, albo raczej w podobnej sytuacji. Plebania Ojców Zmartwychwstańców położona była, jak cała

zresztą nasza dzielnica, pod lasem i kiedy już proboszcz Dudak zakończył swoje modlitwy i życzenia, rozdał najgorliw-
szym obrazki i kiedy otrzymaliśmy świadectwa wydrukowane
pięknie na kredowym papierze, rozpoczął się szaleńczy wyścig
do lasu po pierwsze chwile prawdziwych wakacji, bo szkołę
porzuciliśmy już poprzedniego dnia i teraz nie było przed
nami nic oprócz dwóch miesięcy cudownej swobody. Bie-
gliśmy całą chmarą, wrzeszcząc i poszturchując się łokciami.
Nic, zdawało się, nie mogło powstrzymać tego żywiołu, nic,
oprócz zimnego spojrzenia Weisera, a właśnie on stał oparty
o pień modrzewia, jakby tu czekał na nas specjalnie. Może
od kilku minut, a może zawsze. Tego nie wiedzieliśmy ani
wtedy, ani później w gabinecie dyrektora i przylegającym
doń sekretariacie, oczekując kolejnych przesłuchań, a także
teraz, kiedy piszę te słowa i kiedy Szymek mieszka w zupeł-
nie innym mieście, Piotr zginął w siedemdziesiątym roku na
ulicy, a Elka wyjechała do Niemiec i nie pisze stamtąd żad-
nych listów. Bo Weiser mógł na nas czekać od samego po-
czątku i to chyba właśnie jest najistotniejsze w historii, którą
opowiadam bez upiększeń.

A zatem stał i patrzył. Tak, tylko tyle, wydawałoby się –
tylko tyle. A jednak powstrzymał nadpływającą falę spoco-
nych ciał i krzyczących gardeł, zatrzymał na sobie i odepchnął
na moment, na krótką chwilę, w której żywioł cofa się, by
uderzyć ze zdwojoną siłą. „Weiser Dawidek nie chodzi na
religię” – zabrzmiało gdzieś na tyłach, a z przodu podchwy-
cono to hasło w nieco zmienionej formie – „Dawid, Dawi-
dek, Weiser jest Żydek!”. I dopiero teraz, gdy zostało to po-
wiedziane, poczuliśmy do niego zwyczajną niechęć, która

rosła w nienawiść, za to, że nigdy nie był z nami, nigdy nie należał do nas, jak też za spojrzenie lekko wyłupiastych oczu, które sugerowało w sposób oczywisty, iż to my różnimy się od niego, a nie on od nas.

Szymek wysunął się na czoło i stanął naprzeciw niego twarzą w twarz.

– Ty, Weiser, a właściwie dlaczego nie chodzisz z nami na religię? – i pytanie zawisło pomiędzy nami w powietrzu, domagając się natychmiastowej odpowiedzi.

On milczał, uśmiechając się tylko – jak sądziliśmy wówczas – głupawo i bezczelnie, więc z tyłu zaczęto szemrać, żeby spuścić mu buły. Buły polegały na ugniataniu pleców rozciągniętego na trawie delikwenta pięściami i kolanami, i już widzieliśmy jego białe obnażone plecy, już jego koszula fruwała w powietrze podawana z rąk do rąk, kiedy nagle w krąg oprawców wskoczyła Elka z roziskrzonymi oczami i rozdzielając na prawo i lewo kopniaki, krzyczała:

– Zostawcie go w spokoju, zostawcie go w spokoju!

A gdy to nie poskutkowało, przywarła do jednego z egzekutorów paznokciami, znacząc na jego twarzy długie nitki czerwieniejących gwałtownie bruzd. Odstąpiliśmy od Weisera, ktoś podał mu nawet zmiętą koszulę, a on, nie odzywając się słowem, wkładał ją, jakby się nic nie stało. Dopiero po chwili zrozumieliśmy, że to nie on, a my wyszliśmy z tego poniżeni, on został sobą, niezmiennie takim samym Weiserem i mógł na nas patrzeć jak w Boże Ciało, spokojnie, chłodno, bez namiętności i z dystansem. Trudno wytrzymać coś takiego, toteż gdy tylko oddalił się, schodząc wzdłuż zarośniętego płotu kościoła, Szymek rzucił pierwszy

kamień, krzycząc głośno: „Dawid, Dawidek, Weiser jest Żydek”, a inni naśladowali go, krzycząc to samo i rzucając następne kamienie. Ale on nie odwrócił się ani nie przyspieszył kroku, unosząc w ten sposób swoją dumę, a nam pozostawiając bezsilny wstyd. Elka pobiegła za nim, więc przestaliśmy ciskać kamienie.

To była nasza pierwsza bliższa znajomość z Weiserem, jego śmiertelnie białe plecy, zmięta kraciasta koszula i jak już wspomniałem – nieznośne spojrzenie, któreśmy po raz pierwszy poculi na sobie w Boże Ciało, kiedy rozwiął się kadzidlany obłok, wypuszczony ze złotej puszkki przez proboszcza Dudaka.

Czy był to zwykły przypadek? Czy Weiser znalazł się przed budynkiem plebanii z własnej woli, podobnie jak w Boże Ciało na wzgórku obok ołtarza? Jeśli nie, to jaka siła kazała mu to uczynić, dlaczego postanowił ukazać się nam właśnie tak? Te pytania długo nie dawały mi zasnąć, długo jeszcze po zakończeniu śledztwa i wiele lat później, kiedy stałem się kimś zupełnie innym. I jeżeli jest jakaś odpowiedź, to tylko ta, że właśnie z jej braku wypełniam linijki papieru, niczego nie będąc pewnym. Listy, które wysyłam rokrocznie do Mannheim w nadziei rozjaśnienia kilku innych jeszcze spraw, związanych z tamtymi wydarzeniami i osobą Weisera, pozostają bez odpowiedzi. Początkowo myślałem, że Elka, odkąd stała się Niemką, nie pragnie żadnych stąd wiadomości, żadnych wspomnień, które mogłyby ją wytrącać z jej nowej, niemieckiej równowagi. Ale teraz już tak nie sądzę, a przynajmniej nie byłbym tego taki pewien. Pomiędzy nią a Weiserem było coś, czego nigdy nie mogliśmy pojąć,

coś, co łączyło ich w przedziwny sposób i czego żadną miarą nie da się określić mianem dziecięcej fascynacji płcią czy podobnymi terminami, jakich współczesny psycholog miałby pełne usta. Jej uparte milczenie to coś więcej niż niechęć do kraju dzieciństwa.

A tamtego dnia, kiedy koszula Weisera frunęła w powietrzu z rąk do rąk, pojechaliśmy rozklekotanym tramwajem linii numer cztery na plażę do Jelitkowa. Mimo wczesnego popołudnia na obu platformach wozu panował spory tłok, słońce operowało jeszcze silnie, a wewnątrz pojazdu unosił się charakterystyczny zapach znękanego upałem lakieru. Ani nam w głowie było pamiętać o Weiserze i przedpołudniowej scenie pod lasem. Skoro tylko tramwaj wtoczył się z potwornym zgrzytem na pętlę obok drewnianego krzyża, wybiegliśmy, machając ręcznikami, w kierunku plaży, nie zważając na rozwieszone pomiędzy domami rybaków sieci ani na poustawiane w piramidki kosze, cuchnące tranem i smołą. Dopiero tutaj rozpoczynały się prawdziwe wakacje, a wraz z nimi nurkowanie po garść piachu, wyścigi do czerwonej boi i gonitwy aż do sopockiego mola, skąd najodważniejsi popisywali się straceńczymi skokami. Bo tak naprawdę Jelitkowo nie mogło istnieć bez nas, tak samo jak miasto nie mogło istnieć bez plaży i zatoki. To były naczynia połączone i chociaż dzisiaj jest zupełnie inaczej, pamięć o tym wydaje się niezniszczalna.

Na przedzie rozhukanej czeredy biegł więc Piotr, pragnący zademonstrować swój numer plażowy, polegający na ściąganiu koszuli i spodenek jeszcze w biegu, bez zatrzymywania się, i wskoczeniu do wody w bryzgach białej piany. Jego bose stopy już skrzypiały na piachu, pozostawiając w tyle

piaskowe fontanny, kiedy nagle zatrzymał się nad wodą i krzyknął, jakby mu wbito w nogę coś ostrego:

– Kolki! Chodźcie! Ile tego!

To, co zobaczyliśmy, przekraczało zdolność rozumienia zbrodniczych możliwości natury. Tysiące kolek pływających do góry brzuchami poruszało się w leniwym rytmie fali, tworząc kilkumetrowej szerokości pas martwych tułowi. Wystarczyło wsadzić rękę do wody, by przyczepione do skóry łuski migotały niczym pancerz, ale to nie było przyjemne uczucie. Zamiast kąpieli mieliśmy rybną zupę, w którą można było napluć z obrzydzenia. Ale to był – jak się okazało – dopiero początek. Przez następne dni zupa gęstniała, stając się cuchnącą i lepą mazią. W pożarze czerwca zewłoki gniły, pęczniąc jak nadymane rybie pęcherze, a smród rozkładu czuć było nawet w okolicach tramwajowej pętli. Plaże pustoszały gwałtownie, martwych kolek zdawało się przybywać, a nasza rozpacz nie miała granic. Jelitkowo nie chciało naszej obecności. Nad przybrzeżną zawieszoną, która z godziny na godzinę zmieniała kolor od jasnej zieleni do ciemnego brązu, pojawiły się roje much niespotykanej dotąd wielkości, żywiących się padliną lub składających tam swoje jaja. Morze okazało się nieprzystępne mimo panującej spiekoty. Wszystko na nic – bezwietrzna pogoda, upał i błękitne niebo, łudzące doskonałą czystością. Wreszcie władze miasta postanowiły zamknąć wszystkie plaże od Stogów aż do Gdyni, co właściwie było formalnym potwierdzeniem istniejącego stanu rzeczy.

Nic gorszego nie mogło nas spotkać, ale kiedy myślałem o tym, czekając w sekretariacie naszej szkoły na swoją kolejkę

przesłuchania, i kiedy zastanawiałem się, co też opowiem M-skemu tym razem, wtedy już przypuszczałem, że to nie był przypadek. A nawet jeśli był, to nie taki znów zwykły. Gdyby nie zupa rybna, nigdy nie przyszedłoby nam do głowy śledzić Weisera, nigdy nie ruszylibyśmy za nim w trop przez Bukową Górkę i starą strzelnicę, a on nigdy nie dopuściłby nas do swojego życia. Ale uprzedzam fakty, tymczasem historia ta, jak każda prawdziwa opowieść, musi mieć swój ustalony porządek.

Drzwi gabinetu uchyliły się i zobaczyłem Szymka wypchniętego ręką M-skiego. Zanim zabrzmiało nazwisko Piotra i zanim woźny podniósł się ze swojego krzesła, żeby go doprowadzić bliżej, zobaczyłem wielkie czerwone ucho Szymka, nabrzmiałe i nienaturalnie wyciągnięte. Poczułem skurcz w żołądku i okolicach serca, ale o nic nie mogłem pytać, bo w drzwiach ukazał się M-ski i przepuszczając Piotra do wewnątrz, nakazał woźnemu, żebyśmy nie zamienili ani słowa. Szymek usiadł na składanym krześle, spuścił głowę i nie podnosił wzroku znad swoich kolan. Przez chwilę zastanawiałem się, czy mnie też będą ciągnąć za ucho, lecz prędko dałem temu spokój, pamiętając, że arsenał środków M-skiego był nieograniczony.

Tak, udział M-skiego w całej historii do dzisiaj nie został należycie przemyślany, ale jeśli nie uczyniłem tego do tej pory, to czy wtedy, czekając na kolejne przesłuchanie, mogłem w pełni zdać sobie sprawę, kim M-ski był tak naprawdę albo kim naprawdę nie był? Za bardzo się go wówczas obawiałem, późniejsze wypadki natomiast odsunęły mnie od rozmyślań na jego temat. Kiedy zaś drzwi gabinetu obite pikowaną

dermą zamknęły się bezszelestnie za Piotrem, przypomniałem sobie bardzo ważne zdarzenie.

Co roku nasza szkoła, jak wszystkie inne szkoły, maszerowała równo, w białych koszulach i ciemnych spodenkach na pierwszomajowej manifestacji. M-ski szedł zawsze na czele, dźwigał transparent i uśmiechając się do panów na trybunie, zachęcał nas do śpiewu swoim piskliwym głosem: „Na-przód mło-dzie-ży świa-ta, nasz bra-ter-ski roz-brzmie-wa dziś spi-ee-e-w!”. A my maszerowaliśmy równo, równiutko, uśmiechaliśmy się tak jak wszyscy dookoła i śpiewaliśmy jak wszyscy dookoła, i wiedzieliśmy, że ci, którzy nie przyszedli na święto radości, młodości i powszechnego entuzjazmu, ci właśnie uczniowie nazajutrz, albo najdalej za dwa dni, będą mieli wizytę M-skiego w domu i M-ski będzie pytał rodziców, co to się stało, czy to poważna choroba i w czym może pomóc, żeby za rok o tej samej porze uczeń był zdrow jak ryba. Rok temu z naszej szkoły jeden jedyny uczeń nie poszedł na pochód pierwszomajowy. Był to właśnie Weiser, ale co najdziwniejsze, M-ski nigdy nie złożył wizyty w jego domu, żeby zapytać dziadka, dlaczego wnuk nie przyszedł maszerować razem z nami. Wtedy nie przywiązywaliśmy do tego wagi, ale teraz, gdy nadchodziła moja kolej przesłuchania, pomyślałem, że to bardzo ważne.

Tylko w jaki sposób można było połączyć M-skiego z Weiserem? Do dziś twierdzę, że absolutnie w żaden. Co zatem spowodowało, że M-ski nie złożył wizyty u nich w domu? Nie lubił krawców? A może zapomniał? Nie, na pewno nie zapomniał; jako nauczyciel przyrody i systematyk, był przecieŜ szczególnego rodzaju pedantem i wszystko miał zapisane

w małym notesie, z którym się nigdy nie rozstawał. A jeśli M-ski wiedział o Weiserze coś, czego my nie wiedzieliśmy i czego już nie dowiem się nigdy? Jeśli istniało coś takiego, to czemu zdziwaczały nauczyciel przyrody nie mógł zrozumieć, gdzie zniknął nasz kolega?

O tak, M-ski był prawdziwym dziwakiem, jakich dziś spotyka się tylko w książkach i to nie byle jakich. Latem, podobnie jak my, nie wyjeżdżał z miasta na wakacje i często widywaliśmy go na łące pod brętowskim lasem albo nad potokiem w Dolinie Radości, gdy uganiał się za motylami z siatką i atlasem owadów. A kiedy nie polował na fruwające stworzenia, szedł zgarbiony ze wzrokiem utkwionym w ziemię i co chwila zatrzymywał się, zrywał jakieś zielsko i szeptał do siebie: „*Menyanthes trifoliata*” albo „*Viola tricolor*”, i wkładał zielska do tekturowej teczki, którą niósł ze sobą zamiast pocerowanej siatki. M-ski przygotowywał dzieło o florze i faunie lasów, które ciągnęły się wzdłuż południowych granic miasta aż do Gdyni i w których polował niegdyś sam Fryderyk Wielki. Pewnie dlatego chwycił i kolekcjonował wszystko, co rośło i ruszało się w zasięgu jego wzroku. Na szczęście jednak był krótkowidzem i dzięki temu sporo traw, liści, żuków, much i innego drobiazgu ocaliło swoje istnienie.

Tak, tego gorącego lata, kiedy Weiser dopuścił nas do swoich tajemnic albo raczej dopuścił nas do swojego życia, częściowo zresztą i na ile chciał, tego lata M-ski spotykał nas wielokrotnie w okolicach strzelnicy, Bukowej Górki, brętowskiego cmentarza i Doliny Radości. Jego wyłupiaste, rybnie oczy, odebrane od nieba albo od ziemi, śledziły nas ukradkiem i nigdy nie było wiadomo, czy nie weźmie nas za okaz fauny niezbędny

do wiekopomnego dzieła. Poza szkołą i pierwszomajową manifestacją musieliśmy być dla niego bez wątpienia gatunkiem szczególnie uciążliwych owadów, co dało się wyczuć w jego zimnym, pustym spojrzeniu. Bałem się tego spojrzenia, jego właśnie się bałem, a nie skubania gęsi, wyciągania słońca, grzania łapki lub innych, jeszcze bardziej bolesnych i wyszukanych kar cielesnych, jakie stosował na swoich lekcjach. W pewnym momencie pomyślałem też, spoglądając na zaczerwienione ucho Szymka, że M-ski może swoim spojrzeniem zamienić kogo zechce w owada, i już wyobraziłem sobie, jak obrastam w stalowozielony, chitynowy pancerz i jak moje kurczące się dłonie rozczłonkowują się w ogromną ilość kosmatych odnóży. To było okropne, stokroć gorsze niż lęk przed bólem, zaczerwienione ucho Szymka i niewiadoma śledztwa.

W pierwszych dniach lipca stężenie zupy rybnej w zatoce zdawało się osiągać apogeum. Nad morzem nie było czego szukać i musieliśmy naszą uwagę skierować gdzie indziej. I to jest pierwszy rozdział książki o Weiserze, której nigdy żaden z nas nie napisał i nigdy nie napisze; bo to, co robię teraz, to w żadnym wypadku nie jest pisanie książki, tylko zapełnianie białej plamy, zatykanie dziury linijkami na znak ostatecznej kapitulacji.

Tak, pierwszy rozdział tej nienapisanej książki rozpoczyna się od zupy rybnej w zatoce i od naszych zabaw na brętowskim cmentarzu, gdzie chodziliśmy odtąd zamiast na plażę i gdzie w gęstwinie leszczyn i olch, w zaciszu opuszczonych nagrobków i pękniętych płyt z niemieckimi napisami rozgrywaliśmy nasze wojny. Szymek dowodził oddziałem SS, a jego

odstające uszy przykrywał znaleziony w rowie zardzewiały hełm wehrmachtowski. Piotr miał pod sobą oddział partyzancki, który stale ścigany, dziesiątkowany, okrążany i wybijany do nogi odradzał się wciąż na nowo, by przygotowywać następne zasadzki. Kiedy Szymek ze swoimi brał nas do niewoli, tak samo jak w filmach podnosiliśmy ręce do góry, tak samo jak w filmach maszerowaliśmy z rękami założonymi na karku i tak samo jak w filmach o prawdziwej wojnie, wyświetlanych w naszym kinie „Tramwajarz”, padaliśmy, rozstrzeliwani seriami karabinów maszynowych, do prawdziwego rowu na skraju cmentarza, tam gdzie zaczynał się las sosnowy. I jeśli przypominam sobie z poczuciem pewnego zdumienia, z jak wielkim upodobaniem i znanstwem padaliśmy do tamtego rowu, z jak wielkim podnieceniem czekaliśmy na moment, kiedy ręka Szymka da znak do rozpoczęcia egzekucji, to wiem, że wszystko to zawdzięczaliśmy właśnie kinu „Tramwajarz”, położonemu niedaleko szkoły, obok zajezdni, gdzie urządzano seanse młodzieżowe, mające zaznaczyć nas z historią ojczyzną.

Nie pamiętam już którego dnia, po której potyczce, bitwie i wzięciu nas do niewoli, staliśmy z rękami podniesionymi do góry naprzeciwko luf esesmańskich karabinów, oczekując, aż spod zardzewiałego hełmu Szymka padnie komenda „Feuer!”, kiedy ujrzeliśmy Weisera siedzącego na sośnie, Weisera, który być może przez wszystkie te dni przyglądał się naszej zabawie. Właściwie to najpierw usłyszeliśmy jego okrzyk – okrzyk, który skierował do Szymka, wstrzymując wydanie komendy, a dopiero później zobaczyliśmy go na tej sośnie. Siedział, trzymając stary zdezelowany schmeiser,

którym mierzył gdzieś daleko za wieżę ceglanego kościółka, i patrzył na nas zupełnie tak samo jak w Boże Ciało, kiedy wypłynął nagle zza szarego obłoku kadzidlanego dymu. Pod drzewem stała Elka, opierając się o pień. Nie mówiła nic, ale widać było, że ona jest z nim, a nie z nami. Więc nie usłyszeliśmy tym razem przeciągłego „du-du-du-du”, po którym należało paść najpierw na kolana, a potem już jak popadnie: na wznak, boki albo na brzuch, twarzą w trawę – bo Weiser zeskoczył z sosny i podszedł do oślupiałego Szymka.

Dzisiaj, podobnie jak wówczas, kiedy siedziałem na składanym krześle obok Szymka, a potem Piotra, a potem znowu Szymka w sekretariacie szkoły, oczekując na swoją kolejkę przesłuchania, dzisiaj, tak samo jak i wtedy, dałbym dużo, żeby przypomnieć sobie słowa Weisera na cmentarzu, bo to były właściwie jego pierwsze słowa skierowane do nas bezpośrednio. Szymek, zapytany o to listownie, nie dał mi żadnej odpowiedzi i zajęty swoimi sprawami w dalekim mieście, wyraźnie unika wspomnienia Weisera. Elka, która powinna pamiętać to najlepiej, stała się Niemką i nie odpowiada z Mannheim na żadne pytania, a Piotr w siedemdziesiątym roku wyszedł popatrzeć na ulicę, co się dzieje, i trafiła go całkiem prawdziwa kula.

Tak, jestem przekonany, że od tamtych słów powinna się zaczynać nienapisana książka o Weiserze...

A więc trzymając przerdzewiały i zdezelowany schmeiser, zeskoczył z sosny i podszedł do Szymka, mówiąc: „zostaw, ja zrobię to lepiej”, albo: „zostaw to mnie”, albo jeszcze krócej: „ja to zrobię”. Tylko że Weiser nic takiego nie powiedział, nie mógł nic takiego powiedzieć, ponieważ schmeiser

powędrował do rąk Szymka, a on sam z Elką odszedł ścieżką w dół ku rozbitej bramie cmentarza, jakby przyszedł tu tylko po to, żeby zostawić nam automat i odejść do poważniejszych spraw. Egzekucja nie odbyła się. Otoczyliśmy Szymka kołem i każdy chciał choć przez chwilę potrzymać bezużyteczny kawał żelastwa, który robił wrażenie.

Tak, w tym momencie Weiser nie był dla nas jeszcze najważniejszy, klóciliśmy się o to, która strona powinna posiadać automat. Byłem w oddziale Piotra i oczywiście chciałem, żebyśmy mieli go my, skoro tamci posiadali hełm. Ostatecznie ustaliliśmy nowy, ciekawszy styl gry wojennej. Odtąd po każdej bitwie Piotr zamieniał z Szymkiem automat na hełm i tak raz byliśmy Niemcami, gdy nasz dowódca wkładał hełm, a raz przeistaczaliśmy się w partyzantów, goniąc między zaroiętymi nagrobkami z karabinem w rękę.

Myślę, że Weiser miał od początku jakiś plan oplątania nas swoimi pomysłami, od samego początku musiał wyczekiwać odpowiedniej chwili, żeby jak w Boże Ciało albo na brętowskim cmentarzu zaskoczyć nas zupełnie. Bo w pierwszym okresie, kiedy nie wiedzieliśmy nic o piwnicy w starej cegielni ani o eksplozjach przygotowywanych w dolinie za strzelnicą, ani o jego kolekcji znaczków z Generalnej Guberni – w tym okresie, kiedy nieświadomi niczego uganialiśmy się między nagrobkami brętowskiego cmentarza, on pojawiał się i znikał, jak znika ktoś, kto przyśni się nam przypadkiem i kogo później nie możemy zapomnieć, choć rysy jego twarzy, słowa i sposób zachowania uleciały nam z pamięci zupełnie. On wsączył pamięć o sobie całkiem niepostrzeżenie i któregoś z następnych dni, kiedy w kurzu piaszczystej

drogi wracaliśmy do domów przez Bukową Górkę, najczęściej pod wieczór, w czerwonych promieniach zachodzącego słońca – wtedy właśnie zaczęliśmy o nim rozmawiać. Z początku właściwie przypadkowo i całkiem bez związku z obłokiem kadzidlanego dymu i zardzewiałym automatem, ot tak, zadając pytania głośno i żartobliwie: a co on właściwie robi, kiedy nie bawi się razem z nami? albo – dlaczego ta głupia Elka łązi teraz za nim jak pies, a na nas patrzy z góry jak na bandę szczeniaków?, i po co właściwie dał nam zardzewiały automat? – bo przecież nikt z chłopaków tak sam z siebie nie pozbyłby się za żadne skarby takiego znaleziska. Ale to jeszcze nie było to, co opanowało nas później, kiedy myśl o nim nie dawała nam zasnąć i kiedy traciliśmy całe godziny na wyśledzenie jego i Elki. Na razie zupa rybna w zatoce cuchnęła coraz bardziej i co drugi dzień ktoś z nas jechał do Jelitkowa, żeby zobaczyć, jak sprawy się mają.

Spojrzałem na Szymka. Jego odstające ucho przestało być okropnie czerwone i nawet jakby trochę powróciło do swoich pierwotnych rozmiarów. Pomiędzy nami siedział teraz woźny, a przez uchylone okno sekretariatu dochodziły leniwe dźwięki wrześnieego popołudnia, kroki przechodniów mieszały się z okrzykami dzieciarni, a słońce oświetlało czerwoną dachówkę budynku stojącego po drugiej stronie ulicy. Wszystkie domy w naszej części Wrzeszcza miały tę czerwoną dachówkę, więc – pomyślałem – w takie popołudnie jak to, u schyłku lata, kiedy słońce ma szczególne właściwości, musi to najciekawiej wyglądać z Bukowej Górki, skąd oprócz czerwonych spadzistych dachów widać było lotnisko położone

już za torami kolejowymi i zatokę z białym paskiem plaży. Ile razy staliśmy tam, na górze, nasze miasto wydawało się nam zupełnie inne niż to, w którym żyliśmy na co dzień. Wtedy nie wiedziałem dlaczego, a dzisiaj, kiedy nie ma już Bukowej Górki ani Weisera, ani tamtego Jelitkowa, dzisiaj myślę, że z góry nie było po prostu widać brudnych, zaśmieconych podwórek, nieopróżnionych śmietników i całej brzydoty przedmieścia, której symbolem mógłby być szary i oblepiony kurzem sklep Cyrsona, gdzie kupowaliśmy oranżadę w butelkach nazywanych przez dorosłych krachlami.

Zamiast panoramy z Bukowej Górki widziałem więc dach przeciwległego budynku, promienie słońca ślizgające się po nim coraz krótszymi zygzakami i uchylone okno na poddaszu, w którym wiatr wydymał łagodnie firankę. Zegar w sekretariacie wybił godzinę piątą i w chwilę później usłyszałem dobrze mi znane dźwięki pianina, na którym nauczycielka muzyki akompaniowała popołudniowej próbie chóru. Najpierw była przygrywka, a zaraz potem z piętra zaczęły dobiegać coraz głośniejsze frazy historycznej pieśni masowej lub masowej pieśni historycznej albo ludowej pieśni historii, nie pamiętam już, jak się to wtedy nazywało: „O cześć wam, panowie-ee magna-a-a-ci! Za na-szą nie-wo-lę, kajda-a-ny! O cze-e-ść wam, ksią-żę-ta, biskupi-i-i, pra-ła-ci-i-i, za kraj nasz krwią bra-tnią zbryz-ga-a-a-ny!”. To był refren, powtarzany wielokrotnie, podobnie jak początek pieśni, równie podniosły i patetyczny – „Gdy na-a-ród do bo-o-ju wyruszył z orę-żem, pa-no-wie o czyn-szach ra-dzi-i-li”. Nigdy nie mogłem zrozumieć, ani w czasie szkolnych akademii, ani w czasie lekcji śpiewu, na których pieśń tę musieliśmy

śpiewać dziesiątki razy aż do znudzenia, co miały wspólnego kajdany i niewola z biskupami albo o jakie czynsze chodziło, gdy naród wyruszył do boju, to znaczy, co mają wspólnego czynsze z bojem. I w ogóle za co tu było winić panów, skoro panów już dawno nie ma, a jeśli są, to na pewno nie w naszym mieście i nie w naszym kraju. Tak, dzisiaj na szczęście nie muszę o tym myśleć, tylko melodia utkwiała mi w pamięci prawie doskonale i jeśli powraca do mnie jakimś dziwnym trafem, to nigdy w związku z prałatami, szkolną akademią lub panią od śpiewu, lecz razem ze światłem wrześniowego popołudnia, kiedy siedziałem w sekretariacie naszej szkoły, czekając na swoją kolejkę przesłuchania, razem z widokiem firanki poruszanej łagodnym podmuchem wiatru, razem z Weiserem i godziną piątą, którą właśnie ścienny zegar wybił łagodnym gongiem, przypominającym dzwonek proboszcza Dudaka używany w czasie Podniesienia.

Kiedy ucho Szymka stało się już całkiem normalne, drzwi gabinetu dyrektora otworzył M-ski, wypuszczając stamtąd Piotra, i przyszła moja kolej. Szkolny zapach pastowanych podłóg, który pamiętam do dzisiaj, ciężki i oleisty jak wieczność, w dyrektorskim gabinecie mieszał się z tytoniowym dymem i wonią kawy, którą pili wszyscy trzej przesłuchujący nas mężczyźni. Tylko M-ski nie palił, skubiąc za to rękaw koszuli.

– Więc ty, Heller, utrzymujesz – mówił do mnie, bo tak się wtedy nazywałem, ten w mundurze – ty utrzymujesz, że Weisera i Elkę widzieliście po raz ostatni dwudziestego ósmego sierpnia, w dolince za starą strzelnicą, tak?

– Właściwie to tak – odpowiedziałem, nabierając pewności.

– Co to znaczy „właściwie”?!

Kim jest tajemniczy, obdarzony niezwykleymi zdolnościami Weiser Dawidek? I co się z nim stało, kiedy zniknął pewnego upalnego lata w niewyjaśnionych okolicznościach?

Weiser Dawidek to magiczna, pełna uroku opowieść o dzieciństwie, pamięci i granicach poznania. Okrzyknięta przez krytykę arcydziełem, jedna z najwybitniejszych powieści ostatnich dekad, zaliczana już do klasyki polskiej literatury. Przetłumaczona na piętnaście języków, w 2000 roku została zekranizowana przez Wojciecha Marczewskiego.

Huelle to niezwykle interesujący pisarz, po mistrzowsku kreśli obraz powojennej Gdańsk, świata magicznego i zarazem ascetycznego.

„Kirkus Review”



Fot. Adam Golec

Paweł Huelle jest zakochanym w Gdańsku i Hrabalu pisarzem, scenarzystą i dramaturgiem. Świat, który już dawno przeminął, w jego utworach nabiera niezwykle blasku. Tętni życiem, uwodzi i hipnotyzuje.

Ostatnio w nowej serii ukazała się najnowsza powieść *Śpiewaj ogrody* oraz wznowienie bestsellerowego *Mercedesa-Benza*.

Cena 36,90 zł

ISBN 978-83-240-2881-8



9 788324 028818 >

znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY

E-book dostępny na
woblink.com